Nr. 6. Kraków, 1 Sierpnia 1891 r. Rok I.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi
i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Zielonej L. 8, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie, we Lwowie zaś: Skład główny w księgarni Seyfartha i Czajkowskiego. —

TREŚĆ: Od Redakcyi. — Projekt wyższych kursów dla kobiet w Krakowie, przez dra M. Massoniusa. — Eliza Orzeszkowa, studyum przez J. Nitowskiego. „Kain“, poemat Leconte de Lisle'a. — Gawędy artystyczne i literackie, przez Cezarego Jellentę. — „Córka leśnego“, powieść przez Wisława. — „Wolne Myśli“ (Fejleton VI) przez K. Bartoszewicza. — „Nowe Pastele“, szkic przez P. Bourget'a. — „Myśl“, wiersz przez Szczęsną. — Ze świata dźwięków, przez St. Niewiadomskiego. — „Drugie pokolenie“, przez K. J. N. — Z literatury zagranicznej. — Miscelanea. — Rozrywki naukowe. — Odpowiedzi od Redakcyi. — Inseraty. — W dodatku powieściowym: — Mamin Synek“, przez S. Graybnera.

OD REDAKCYI.

Do dzisiejszego numeru dołączamy dla prenumeratorów „Myśli“ bezpłatny dodatek beletrystyczny *(Biblioteka „Myśli“)*, zawierający początek dwutomowej, oryginalnej powieści S. Graybnera p. t.: „Mamin synek“.

PROJEKT WYŻSZYCH KURSÓW
dla kobiet w Krakowie.

Odkładając do przyszłego N-ru „Myśli“ obszerniejsze sprawozdanie o przebiegu i rezultatach ostatniego zjazdu przyrodników i lekarzy, chcemy teraz zwrócić uwagę czytelników na doniosłą uchwałę, którą zjazd powziął na skutek wniosku p. Jana Karłowicza. Wniosek ten. postawiony na drugiem zgromadzeniu ogólnem dnia 20 lipca, głosił: Zjazd uznaje za potrzebne dopuszczenie kobiet do słuchania wykładów na wydziale filozoficznym uniwersytetu Jagiellońskiego. Wśród grzmiących oklasków został on bez dyskusji i głosowania przyjętym przez aklamację.

Postawiony lat temu kilkanaście, wniosek upadłby z pewnością — i słusznie; dziś przyjęto go z zapałem, również słusznie.

Nie znaczy to oczywiście, aby wykształcenie wyższe miało być przed kilkunastu laty dla kobiet szkodliwem; było również pożytecznem, jak dziś i zawsze. Ale różnica między wielu rzeczami w teorji a w praktyce polega między innemi i na tem: że w teorji każda kwestja da się rozważać w odosobnieniu od innych i sama dla siebie; w praktyce zaś staje ona początkowo przed sądem opinji publicznej w tym związku nie logicznym, lecz faktycznym — w jakim się znajduje z różnemi innemi sprawami, nie mającemi z nią częstokroć w istocie rzeczy nic a nic wspólnego.

Ale tylko początkowo. Jeżeli sprawa jest istotnie żywotną przetrwa ona tę pierwszą, najniepomyślniejszą dla siebie fazę, dojrzeje w umysłach i stanie przed sądem we właściwej sobie postaci i domaga się dla siebie sprawiedliwości.

Tak właśnie miała się rzecz ze sprawą wyższego wykształcenia kobiet. Przed laty mniej więcej 20 pojawiła się ona na arenie rozpraw publicznych, jako jedna z części składowych, ogólnej t. zw. emancypacji kobiet, w związku z wielu ideami równie niesympatycznemi, jak istotnie niezdrowemi. Propagowana przeważnie przez osobniki niedojrzałe i stojące w ciągłej opozycyi z wielu istotnemi właściwościami społeczeństwa polskiego, powikłała się w umysłach z negacjami religji, rodziny, ojczyzny, własności i przedstawiała się odtąd w oczach całej niemal publiczności, jako nieodłączna część składowa doktryny burzycielskiej, usiłującej nas wyzuć z cech, stanowiących istotę naszego bytu narodowego. Zważywszy nadto, że osobistości apostołów i apostołek równouprawnienia w znakomitej większości istotnie skupiały w sobie dziwaczne cechy, świadczące o ich małej dojrzałości umysłowej i moralnej, a wstrętne dla nas ze stanowiska naszych tradycyj narodowych, nie będziemy się dziwili, że sprawa wyższego wykształcenia kobiet w tem otoczeniu, z którego jej niepodobna było wyosobnić, nie zdobyła sobie odrazu w publiczności uznania ani współczucia.

Ale czas uspokoił namiętności, przyniósł fakty i umożliwił spokojne, beznamiętne i bezstronne traktowanie sprawy. Najkrzykliwsze z emancypantek uczyły się oczywiście najmniej, ale pewna ilość osobników płci żeńskiej, poważniejszych umysłowo i dzielniejszych moralnie, zaczęła się uczyć na serjo; nauki, której nie znajdowały w ojczyźnie, szukały w Paryżu, w Petersburgu, w Szwajcarji i pokończywszy chlubnie wyższe zakłady naukowe, okazały się, za powrotem do kraju, conajmniej nie gorszemi polkami, żonami, matkami i t. p. od tych, które się niczego porządnie nie uczyły. Nie straciły nic na t. zw. „kobiecości“ i przekonały czynem, że można znać historję, nauki przyrodnicze a nawet medycynę, nie stając się przez to ateistką ani komunistką, nie burząc zasad życia rodzinnego na korzyść „wolnego doboru“.

Czas, a właściwie fakty, które czas przyniósł, sprawiły, że możemy dziś sądzić sprawę wyższego wykształcenia kobiet spokojnie, traktując ją samą dla siebie, oddzielnie od rzeczy, nie mających z nią nic wspólnego. W świetle takiego sądu staje się ona tak jasną i oczywistą, że argumenty na korzyść wyższego wykształcenia kobiet wydają się po prostu zbytecznemi. Jeżeli wykształcenie wyższe pożytecznem jest ze strony idealnej i praktycznej dla mężczyzn, to jest również pożytecznem i dla kobiet. Nie mają tu znaczenia przeciwdowody, czerpane ze znanego i słusznego założenia o różności umysłu kobiecego od męzkiego, opartej w znacznej części na różności właściwości fizjologicznych ich organizmu, boć chodzi nie o korzyści z kobiet dla nauki, tylko o korzyści z nauki dla kobiet. Że najuczciwsze kobiety dotychczas nigdy nie posuwały istotnie naprzód nauki, to fakt; że jej nie będą posuwały i nadal — to wniosek przez dotychczasowe doświadczenie i rozważanie właściwości umysłu kobiecego dostatecznie uzasadniony. Ale ztąd nie wynika na żaden sposób, aby wykształcenie wyższe nie miało być dla kobiet równie korzystnem, jak dla tych, najliczniejszych zresztą mężczyzn, którzy po ukończeniu studjów uniwersyteckich poświęcają się nie pracy teoretycznej, lecz zawodom praktycznym, czasami takim, do których stosują nabyte na uniwersytecie wiadomości, czasami takim, które z wiadomościami

temi nie mają nic wspólnego. Umysł kobiecy różnym jest od męzkiego, ale podobnym do niego i skoro jest przystępnym dla wiedzy — a że nim jest, tego dowodzą fakty — to wiedza musi dlań być równie dobroczynną, jak i dla umysłu męzkiego; tak samo rozszerza widnokrąg umysłowy, tak samo nadaje umysłowi hart i tęgość, myśleniu ścisłość i precyzję. Kobieta wykształcona stoi od niewykształconej o tyleż wyżej, o ile mężczyzna wykształcony od niewykształconego. Jestto tak prostem, że zakrawa na komunał. To też sprawa wykształcenia wyższego kobiet mogła być zabagnioną tylko przez okoliczności uboczne, wikłające ją w koło rzeczy niepożądanych, ale obcych jej całkowicie.

Chodzi teraz, w myśl wniosku p. Karłowicza, o dopuszczenie kobiet do słuchania wykładów na wydziale filozoficznym uniwersytetu krakowskiego. Ma to na celu ułatwienie im uczenia się przez zaoszczędzenie znacznych kosztów, jakie wyjazd za granicę pociąga; ma też — i to jest jeszcze donioślejszem — umożliwienie im czerpania wiedzy z własnego, ojczystego źródła, w miejscu, tchnącem polskością i nie przedstawiającem tych niedogodności, które pod względem patrjotycznym przedstawiają Paryż i Szwajcarja, a tem bardziej Petersburg. Nie chodzi o osławioną medycynę, tylko o przedmioty wydziału filozoficznego — historję, literaturę, nauki przyrodnicze, matematykę. Sprawa ma i swoją stronę praktyczną — rozszerzenie szczupłego pola pracy kobiecej. Dypłom, którego by uniwersytet udzielił okazującej zadawalniające postępy słuchaczce, byłby niewątpliwą rękojmią jej należytego przygotowania do zawodu nauczycielki w gimnazjach i wyższych pensjach żeńskich. Rozszerzenie zaś pola pracy kobiecej — to sprawa niemałej doniosłości moralnej; dając kobiecie możność zdobycia własnemi siłami bytu materjalnego, postawi się ją poza koniecznością łapania męża *à tout prix,* albo pozostawania przez całe życie czyimś ciężarem; w części zaradzono temu już dziś przez dość już rozpowszechnione wykształcenie profesjonalne; ale tylko w części; sprawa zaś jest tej wagi, tak od niej zawisła godność moralna kobiety i przez nią ludzkości, że ją trzeba doprowadzić do końca i dać kobiecie całkowicie równą jak mężczyźnie możność obejścia się w życiu bez niczyjej pomocy, aby, stojąc o własnych siłach, nie potrzebowała mieć do małżeństwa innych, oprócz idealnych motywów.

Nie wiemy, czy uniwersytet przychyli się, czy nie do uchwały zjazdu, ale to niewątpliwa, że sprawa weszła dziś całkowicie na drogę poważną; wprowadza ją teraz nie gromadka krzykaczy, ale taka wysoka powaga intelektualna i moralna, jaką jest zjazd przyrodników i lekarzy polskich — kilka setek ludzi nauki i poważnej, uczciwej pracy. Werdyktu tej wysokiej ławy lekceważyć niepodobna, jakkolwiek oczywiście można go krytykować. Dziś, kiedy namiętności się uspokoiły, męty osiadły, i sprawa wyższego wykształcenia kobiet wyklarowała się, możliwą jest jej krytyka spokojna, beznamiętna, w należytem odosobnieniu od obcych jej naleciałości. Krytyka taka doprowadzi, jak tuszymy, do uznania konieczności dostarczenia polkom możności uczenia się w Polsce, do tego znakomitego ułatwienia im godnego pełnienia ich obowiązków rodzinnych, społecznych i patrjotycznych. MARYAN MASSONIUS.

ELIZA ORZESZKOWA

STUDYUM

PRZEZ

J. NITOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Młoda, niedoświadczona dziewczyna, uboga nauczycielka Kamilla, oczarowana pięknemi światowemi manierami i rozumem bohatera powieści Kaliksta Graby, oddaje mu swą rękę, śniąc o różowej, szczęśliwej przyszłości. Atoli nazajutrz po ślubie, mąż z całą bezczelnością zrzuca z siebie maskę uczciwości, którą się dotychczas okrywał przed narzeczoną i jej matką, i ukazuje się w prawdziwem świetle. Przerażona kobieta dowiaduje się, że mężem jej jest łotr ostatni, człowiek bez czci i wiary; szuler, którego dom jest pułapką na młodych i niedoświadczonych ludzi, ogrywanych w karty. Kamilla w rozpaczy chce się na razie pozbawić życia, jednakże wzgląd na matkę, staruszkę, powstrzymuje ją od tego; zbiera więc wszystkte swe siły i traktując od tej pory męża z najwyższą pogardą, usiłuje pod maską wesołości ukryć swą hańbę i boleść przed matką, którą kocha nad życie. Wypadek atoli zrządził, ze staruszka dowiedziała się o wszystkiem i, dostawszy ataku apopleksyi, umiera. Wówczas Kamilla pragnie rozstać się z mężem znienawidzonym i w tym celu udaje się do adwokata, chcąc zasięgnąć rady jego w sprawie rozwodu. Tu jednak spotyka ją zawód bolesny, gdyż dowiaduję się, że prawo kanoniczne powodów do rozwodu, przez nią przytoczonych, nie uznaje za słuszne. Puka następnie do bram klasztoru, gdzie chce się ukryć przed ścigającym ją wszędzie i prześladującym mężem, ale i tu doznaje powtórnie rozczarowania, ponieważ przełożony zakonu zamyka przed nią drzwi z oburzeniem, tłómacząc jej potrzebę dobrowolnego poddawania się cierpieniu. Z pozorną więc rezygnacyą pozostaje nieszczęśliwa kobieta przy mężu, patrząc na jego nikczemne rzemiosło szulerskie i staczając ciągłe z nim walki, aż póki Graba, z uwielbianego powszechnie stawszy się pogardzanym, z bohatera salonów i wodza złotej młodzieży — prostym szulerem, w rozpaczy i nędzy ostatecznej, targany wyrzutami sumienia, nie odebrał sobie życia wystrzałem z pistoletu.

W tym stosunku Kamilli do Graby widzimy silnie zaakcentowaną kwestyę kobiecą, a mianowicie związki małżeńskie. Kamilla wychodzi za Grabę ze świetnemi rojeniami na przyszłość, pełna wiary i miłości dla człowieka, który z szatańską przebiegłością zdołał obałamucić młodą kobietę i jej matkę, przedziwnie aż do dnia ślubu odgrywając rolę uczciwego i nieszczęśliwego człowieka. Związawszy swe życie z takim potworem, Kamilla nie była w szczęśliwem położeniu Reginy z „Ostatniej miłości". Rozwód i separacya okazały się niemożliwemi; Graba postanawia ścigać żonę wszędzie, gdziekolwiekby się ukryła; nie pozostaje więc nieszczęśliwej kobie nic innego, jak tylko znoszenie tortur, póki śmierć jednego z dwojga ludzi nie położy kresu męczarni. Jedynym, zapobiegającym podobnym katastrofom, środkiem jest rozumne wychowanie kobiety, dające jej możność przy wejściu w świat odróżniania ziarna od plewy.

Tak więc, obok wyżej wymienionej kwestyi, „Pan Graba" jak i „Pamiętnik Wacławy" — zawiera w sobie i drugą jeszcze, a mianowicie kwestyę wychowania. Około głównego bohatera roi się cały tłum t. zw. złotej młodzieży, utracyuszów, próżniaków, ludzi z zacnemi w gruncie zasadami, ale spaczonemi i zwichniętemi przez wychowanie. Takim jest Kloński, Tosio, Słabecki i wielu innych, a między nimi i sam Graba, człowiek bogato uposażony od natury, niepospolitego rozumu i sprytu. Miał on wszystko potemu, aby zostać człowiekiem uczciwym, a jednak stał się łotrem. Dla czego? Żyd-lichwiarz Wigder rozwiązuje to pytanie: „Stałeś się pan tem, czem jesteś, bo nie miałeś w sercu żadnej miłości, żadnej wiary". Jakże nasz bohater mógł żywić w sobie podobne uczucia, skoro mu ich nie wszczepiono za młodu? Fatalne wychowanie spaczyło i zepsuło do gruntu tę dzielną i energiczną naturę tak samo, jak zepsuło i zwichnęło otaczających go przyjaciół. Ludziom tym nie dano poznać za młodu żadnych wznioślejszych idei, nie wszczepiono żadnej gorętszej miłości, żadnych zacniejszych pragnień nie rozbudzono i nie nauczono nawet myśleć prawidłowo. Dano pieniądze, które miały wszystko to im zastąpić i puszczono

w świat z wyładowanemi kieszeniami, ale ze straszliwą pustką w piersi i głowie. Natury mniej energiczne, mniej pożądające czynu — spokojnie w takich okolicznościach przechodzą przez życie i często — choć bezwiednie zgoła — zostają uczciwemi; natury zaś, obdarzone większą siłą, zwłaszcza niespokojne i pożądające ciągłego ruchu, szukają ujścia dla nadmiaru sił swych w brudach i mętach życia, nie mogąc natrafić na czyste zdroje, bo im wychowanie nie wskazało drogi, prowadzącej do nich. Często ludzie tacy odzyskują w pewnych chwilach samowiedzę i doskonale rozumieją, czem są; wówczas, widząc zmarnowaną przeszłość za sobą, a czując zupełny brak woli, której resztki zabiło bezczynnie dotąd pędzone życie, w rozpaczy niemal, jak n. p. Tosio, Słabecki, rzucają klątwę na własnych rodziców i stają się strasznym wyrazem zemsty za ich lekkomyślność.

Ta kwestya wychowania, jak to Orzeszkowa zaznacza w pierwszej ze swoich powieści „Ostatnia miłość“, najbardziej pono paląca ze wszystkich kwestyj społecznych doby dzisiejszej, wije się przez wszystkie niemal utwory naszej powieściopisarki, jak nić złota i wszędzie występuje, jako istotne źródło tych cierpień jednostek, jako przyczyna tych karykatur społecznych, które z takiem mistrzowstwem maluje autorka. Szczególnie silny nacisk, jak to już zauważyliśmy wyżej, kładzie na fałszywe i niedostateczne dotychczas wychowanie kobiety, której przypisuje niezmiernie ważną rolę w społeczeństwie. Kobieta — matka, zdaniem Orzeszkowej, jest w społeczeństwie najwyższą kapłanką, której wpływ na dzieci stanowi o ich przyszłości. Ale, żeby kobieta mogła spełniać należycie swoje zadanie, musi być przedewszystkiem sama człowiekiem. „Dopóki kobiety nie wzniosą się myślą ponad błyskotki i próżność, póki będą stały w społeczeństwie, jak lalki, dzieci, bóstwa albo kwiatki, a nie jak ludzie — póty w życiu społecznem brakować będzie pierwszej podstawy dobrego“. (Ostatnia miłość str. 134) Prawda to niezaprzeczona: wpływ kobiety nietylko na dzieci, ale i na rodzinę wogóle jest wielki; jak bowiem rodzina jest sercem społeczeństwa, tak kobieta jest sercem rodziny. Jak z jednej strony kobieta może zbudować i utrwalić szczęście rodzinne, tak z drugiej zniszczyć je łatwo potrafi. Na tę właśnie prawdę kładzie nacisk Orzeszkowa w powieści swej p. t. „Na dnie sumienia“. Głównemi postaciami kobiecemi, wpływającemi na losy dwóch bohaterów powieści Dembielińskiego i Suszyca są tu: Ewa i Honorata; ta ostatnia, jakkolwiek pozornie podrzędne zajmuje w całem opowiadaniu stanowisko, atoli ze względu na skutki jej wpływu, wystawione w powieści, bez żadnej wątpliwości należy jej wyznaczyć miejsce równoznaczne z miejscem Ewy. Obie one, żądne bogactw, dwóch ludzi szlachetnych w gruncie popchnęły na drogę występku i całą ich przyszłość zwichnęły. Różnice między temi kobietami wypływają w znacznej mierze z różnicy sfer, z których pochodziły one, gdy bowiem Ewa, wzrosła w atmosferze arystokratycznej, odznacza się pewną delikatnością uczuć i sporym zasobem wrażliwości, sprowadzającej w latach późniejszych częste spazmy w razie potrzeby — Honorata bynajmniej na nerwy nie choruje, a nieustannie słowami zjadliwemi, zdradzającemi całą nikczemność i przerażającą złość tej natury, zwolna kole, jak nożem, serce męża i dzieci. Zasadnicza różnica w charakterze tych kobiet na tem przeważnie polega, że gdy Ewa jest uosobieniem nicości charakteru kobiecego, niezdolnego samodzielnie ze świadomością nic ani dobrego ani złego popełnić, Honorata będzie doskonałym wyrazem natury, pozbawionej wszelkich uczuć miłości, wiecznie mściwej i zdolnej do działania tylko w kierunku ujemnym. Ewa budzi bardziej litość, Honorata — wstręt najwyższy i odrazę. (D. c. n.)

KAIN.

POEMAT.

Leconte de Lisle'a.

(Tłum. z franc. A. Lange).

(Ciąg dalszy).

Ale niech jęki wichrów, niech groza katuszy
Czuwań nocnych, niech głodu ból, niech błąkań zwiry,
Niech żałoby wczorajsze i dzisiejsze kiry,
Niechaj agonia świata napełnia me uszy
I huczy w mojem sercu jak potoki wiry.

A więc tak uczynili. Orły uleciały
Z miejsca, gdzie ten straszliwy czyn był dokonany,
Pradziad usnął w mogile latami złamany
Według woli zwrócony twarzą na upały
Słoneczne, na larwy i na kurz orkany.

Enochjo, twierdzo mężów straszliwych gromady,
Pieczaro gwałtowników niezwalczonych grodzie,
Która nigdy nie znała — w rozpaczy ni głodzie
Strachu, ani wyrzutów! drżał syn Elma blady
Kiedyś stanęła przed nim w zmarłych wieków lodzie!

Widział twe wielkie schody, a na nich ogniste
Pochodnie, co się wiją w nocnych wiatrów pyle,
Słyszał ryki niedźwiedzi i lwów, które sile
Twych łańcuchów uległy. Widział przezroczyste
Fale twych wód, gdzie czarne jęczą krokodyle.

I ze wszech stron w tym groźnym żelaznym potworze
Śpiących z otwartem okiem dochodziły tchnienia
I tylko tu i owdzie śród mroków milczenia
Jakieś widma żałobne opuszczały łoże
By słuchać tajemniczych szmerów nocy cienia!

Lecz oto z łona mroków rozdartych, od dzikiej
Granicy puszcz, co huczą wrzawliwym cyklonem,
Jakiś jeździec straszliwy na rumaku wronym
Z zaciśniętemi pięśmi, z grobowemi krzyki
Biegł przez góry i doły w galopie szalonym.

(D. c. n.)

GAWĘDY ARTYSTYCZNO-LITERACKIE.

Kazimierz Tetmajer. Poezye. Kraków 1891.

II.

Ludzie sądzą, że jak butelka wina nie może obejść się bez etykiety, tak i rymopisa nie wolno prezentować światu bez kartki: „ma talent“, albo „niema talentu“. Nic dziwnego, szarlatanerya kiprów zrodziła pierwszy nałóg, blaga krytyki, drugi. Czy w piwnicy, czy w pieczarze Pytyi literackiej — ciemno i duszno i wolno pleść od rzeczy. Niema bowiem większego zuchwalstwa i płytkości, jak chcieć wyrokować o kimkolwiek z jednej książczyny, czy ma talent, czy go niema, a jeśli ma, to w jakim stopniu i t. p.

Pan Tetmajer daruje nam, że nie powiemy, ile ma metrów, centymetrów i milimetrów jego dar poetycki i że zamiast wróżb „nieomylnych“ na przyszłość, wyróżnimy po prostu ten żywioł, w którym on obraca się najswobodniej i najkorzystniej się przedstawia. Owoż, wątpić niepodobna, że rodzinna, ojczysta sfera działa nań daleko lepiej, niż wszystkie te, które potworzył sobie sztucznie. Gdy jest u sie-

bie w domu, w Tatrach, śpiewa melodyjnie, z siłą i uczuciem, tak różnemi od fałszywego nieraz patosu i afektacyi w rozmyślaniach, dajmy na to, filozoficznych, że każdy domyśliłby się łatwo, co jest ulubionym motywem poety, nawet nie przeczytawszy „Pozdrowienia“:

Wichrze! nad wzgórza, pola nieś
Me pozdrowienie stąd
Rodzinną moją pozdrów wieś
I dunajcowy prąd....
I do tych śnieżnych skał się wróć
Ku stawom, halom gnaj,
I pozdrów mi po tysiąckroć
Mój cały górski kraj.

Tak dalece autor przyrodę swą rozumie, odczuwa i kocha, że cykl jego poemacików górskich lśni klejnotami najczystszej wody. „Burza“ i osobliwie „Mgły nocne“ godne byłyby, żeby je tu przytoczyć w całości. Pierwsza zastanawia wprost siłą i pewnością roboty; doskonałemi pomysłami i pięknem zakończeniem:

Przegnała nawałnica.... Wzrok rzuciłem na dół,
Myśląc, że świat zobaczę odmłodzony świeży,
Kilka drzew zdruzgotanych w mętnej wodzie leży,
Lecz nie zmienił się w niczem smutny ziemski padół...

W drugich zaś, głównie w „Mgłach nocnych“, widać spokojną, ścisłą obserwacyę zjawisk natury górskiej, wiecznie potężnych i wiecznie ciekawych, oraz skrzętne, malarskie przenoszenie na papier efektów. Jestto niewątpliwie jeden z lepszych krajobrazów poetyckich, całkiem przedmiotowy, całkiem artystyczny. Niektóre strofy, obok wielkiej prawdy, posiadają dźwięczność i szlachetny dobór wyrażeń. Np:

Znów wylatują z za gór i na kosodrzewie
Oparły lekkie stopy, rozsnuły warkocze,
Rozwiały skrzydeł błony szerokie, przezrocze
I ważą się przy wiatru rytmicznym powiewie.

Już płyną w dół na lasy — na wierzchołków fali
Rozesłały się czarnej — na ich ciała mgliste
Księżyc rzucił blask świetlny, i całe srebrzyste
Leżą, jak welon z płynnych dziergany opali.

W tem podniosły się w górę — lecą — w koło szczytów
Wiją wieńce, pląsają — złączyły się społem —
Wiatr podbił je — zawisły nad kamiennem czołem
I uleciały w przestrzeń gwiaździstych błękitów.

Niema tu ani jednego fałszu dla oka, ani jednego dla ucha. Ładne są też, choć bardziej ulotne: „Schnąca limba“, „Limba“ i „Morskie Oko“. Forma niektórych, jak i poezye p. Nowickiego dowodnie świadczą, że „Sonety krymskie“ Mickiewicza, niezależnie od własnej swej ceny, jako arcydzieł jedynych na świecie, są niespożytą szkołą dla potomnych i w ogóle wynalazkiem, który tylko na najwyższym szczycie natchnienia mógł się zrodzić.

Nasz młody poeta nawet gdy rozpamiętywa rzeczy ogólnoludzkie, gdy roni łzę tęsknoty miłosnej i we własnem uczuciu się zatapia, wraca raz po raz w góry: z nich czerpie siłę, ich powietrzem wonnem oddycha, ich zjawiskami określa swoje myśli. („Pod śniegu srebrnym puchem“, „Fantazya“, „W noc jesienną“ i wiele innych). Tatry są dlań skarbnicą porównań i użyczają mu ciągle swych wierchów, turni, wodospadów i smreków, granitów i lodowców, orłów i kozic. Wprawdzie pyta on gdzieindziej, za co ma wielbić naturę, czy za to, że „w najsroższej, tyrańskiej trzyma go niewoli, że mu do (?) mózgu żądzę wszczepiła poznania“, ale doktryna zostaje doktryną — a Tatry — Tatrami i cud cudem...

Miłość jego przytem dla polskich Alp jest pełna, wszechstronna. Kocha bowiem i pojmuje lud podhalski, dziką poezyę górali, ich siłę, zręczność i gracyę, odwagę i junactwo, w ten sposób nutę patetyczną zachwytów nad samą przyrodą uzupełnia melodya naiwna, ludowa, podsłuchana i odczuta nie sercem mieszczucha i filistra, lecz nieodrodnego syna tych gór i tego ludu. Co prawda, gdy wypadło zrobić z miejscowej legendy bohaterskiej „Pieśń o Jaśku zbójniku“, czyli to, co np. Paderewski zrobił z motywów muzycznych tego plemienia, autorowi grubo pogmatwały się nici rodzinnego lnu z przędzą fabryczną i oto jedna zwrotka brzmi po zakopańsku, druga uczenie, a trzecia znów z kiepska po węgiersku, zaś bardzo często w jednej i tej samej podobnej plątaniny dopatrzeć się można. Bigos tego rodzaju mógł smakować ongi, przed „Beldonkiem“ Dygasińskiego i „Na przełęczy“ Witkiewicza — dziś już jest mdły. Chwilami słyszymy mówiącego Sabałę, chwilami znów literata z Krakowa i czy to w porządku? W przypisku poeta mówi: „Starałem się wiernie zachować charakter pieśni podhalańskiej i języka, zmieniając o tyle dyalekt, aby nieprzywykłego doń ucha nie raził“. A cóż to za dziwoląg! Niech się uszy stosują do rasy a nie rasa do „nieprzywykłych“ uszów.

A to tem bardziej, że p. Tetmajer w wierszu „Moja kochanka“ drwi z mieszczek i woli swoją, nie bardzo piśmienną dziewczynę.

Drobny ten wierszyk ma znaczenie charakterystyczne; raz dlatego, że pospołu z pieśnią o „Zbójniku“ i takiemi na wielką skalę utworami, jak „Sonety chłopskie“ Kasprowicza znamionują w poezyi ów śmiały naturalizm, świeżo narodzony, a różny rdzennie od nierealistycznych bynajmniej, lecz czułostkowych z rozmysłu liryk Konopnickiej, a powtóre, że tworzą one pyszny odpowiednik do takich samych objawów w naszem malarstwie. W obu dziedzinach zaniosło się poważnie na szczery, wiejski pejzaż i dosadną, chłopską rodzajowość. Tylko że malarstwo ma już swego bezwzględnego realistę-poetę w Chełmońskim (i poniekąd w Fałacie), który kierunkowi patronuje a poezya jest dopiero w drodze do znalezienia. Nie brak jej zdolnych kandydatów do tej trudnej roli: dowodem Kasprowicz, i autor „Oksany“ Włodzimierz Wysocki. Jak dotąd, więcej widoków zwycięstwa ma ten drugi, nie zbyt płodny, wprawdzie, lecz dziwnie prosty, treściwy, wkradający się do serca ciepłem i melodyą wiersza, gdy pierwszy w pogoni za parodoksalnością rymów zabija, zagłusza jędrną swą myśl i uwagę czytelnika skupia na formie.

Bracia Tetmajerowie są z wielu względów zjawiskiem symbolicznem; w ich osobach bratają się dwie sztuki, dwie tendencye artystyczne, często a nawet zazwyczaj dosyć rozbieżne a dzisiaj całkiem równoległe. Byleby symbol ten zmężniał i spotężniał...

Przyszły dziejopis naszej twórczości zwróci kiedyś uwagę na podobne zdumiewające zbiegi wypadków, choć przecie są to następstwa całkiem naturalnego rozwoju i układu naszej duchowości. Będzie on również unosił się nad innym dziwnym sojuszem: malarstwa i prozy artystycznej w jednej osobie Witkiewicza. Ale chyba najwięcej radować go będą motywy górskie; prawie że nagły, a błogosławiony dla całej sztuki nabytek. Odkrycie Ameryki niema tej wagi dla oświaty powszechnej, co dla nas odkrycie piękna tatrzańskiego. Literatura i sztuka, skazane zdaniem naszych ojców na wyłączny charakter nizinny, jednostajny, jednym rzutem przedzierzgają się w inną, piękniejszą skórę; zbogacają się Krezusowym skarbem; do mowy naszej wpływają nowe strumienia, czyste jak kryształ i orzeźwiające; powstaje krajobraz piękny a własny na miejsce kłamliwych i cudzych widoczków, które cyganerya malarska znosiła z Krymu, Włoch, Szwajcaryi. W tej chwili trudno nawet przewidzieć, jakie będą skutki tego bajecznego przełomu. To fakt, że się już zaczęły i nie pominęły żadnej postaci artyzmu, nie wyłączając rzeźby i mu-

zyki (Noskowski i Paderewski) oraz sztuki stosowanej do przemysłu.

Proszę mi wybaczyć odskok, toć na wstępie wymówiłem go sobie, zaznaczając bliźniactwo nowych tchnień muzy naszej. Gromadzić symptomy z okazyi tak obfitego w symptomy fakciku, jak książka p. Kazimierza Tetmajera, warto i należy.

Z kolei wspomnieć wypada o trzecim głównym żywiole „Poezyj“ — o erotykach. Zajmują one w zbiorku sporo miejsca i tchną po największej części dosyć silnem, młodem uczuciem. Lecz na pytanie, czy z nich wyziera jaki nowy, nieograny jeszcze temat miłosny — nie moglibyśmy odrzec: tak. Spotykamy bowiem i porywy gwałtowniejsze, i akcenta zmysłowe i szablonowy idealizm w rodzaju wykrzykniku (Do...).

A zawsześ dla mnie tą samą dziewczyną
Z anielstwem w oczach, z anielstwem w uśmiechu.

Takie komunały i madrygały nie są godne pisarza i człowieka, który gdzieindziej zdradza pewną siłę pragnienia i tęsknoty, a więc stanów ducha, nie mających nic wspólnego z pustym brzękiem słów. W ogóle autor chełpi się, że jego kochanka niema maniery i nie z jego pochodzi sfery, a sam nieraz popełnia grzech konwencyonalizmu.

W „Fantazyi“ n. p. dla wyrażenia, iż nie uda mu się drugi raz śnić rozkosznie o miłości, nagromadza aż kilkanaście porównań rzeczy niemożliwych. „Prędzej kaskady się uciszą, kwiat skamienieje, wichry twardemi skały zakołyszą, prędzej się Tatry skruszą w pył, prędzej od piorunów woda się zapali“ i t. d., „nim drugi raz tak będę śnił.“ Najpierw, zkąd ta pewność? Powtóre, równorzędnie ze snem kłaść efekta tak twarde, lapidarne, granitowe?

Taż sama skłonność do deklamacyi, idąc w parze z pewnemi brakami plastyki, zepsuła też dosyć oryginalny dyalog wierszowany „Salomon i Sulamitka“, w którym odczuwamy łaknienie, żar namiętności, spazm pieszczoty i pesymistyczną klątwę niebytu, rzuconą na zarodek samego życia. Chcąc naśladować piękne w swej naiwności porównania ze starego testamentu, oraz „Pieśni nad pieśniami“, albo może Alfreda Nossiga, który w swych „Rytmach“ przedziwnie je odnowił, p. Tetmajer kładzie całkiem niemądre słowa w usta — komu? wcieleniu mądrości, Salomonowi.

„Jak dwa gołębie piersi twoje, co na śnieżystej siedzą hali“. Gdzie, na miłość Boga, proporcya! Takie piersi możnaby widzieć chyba tylko przez mikroskop.

Wspomnieliśmy o pesymiźmie. Niechęć do życia, rwanie się do... Nirwany, prośbę o sen i śmierć, możnaby nazwać czwartą z głównych strun liry naszego autora. Dźwięczy ona smutno w mnóstwie poemacików, refleksyj filozoficznych i elegijnych westchnień. Nie zawsze jej wierzyć można, bo za często się powtarzają owe „nirwany“, „przestrzenie“, „mroki“, „wieczności“. Autor jest (jak i Kasprowicz), Shelleistą; parę drobiazgów jego przełożył, może pod jego wpływem nasiąknął panteizmem, któremu jednak nadał barwę czarną, zamiast różowej. Ten i ów z wybuchów zgorzknienia, jak np. „o szczęśliwej doli małp“, razi niesmakiem i sadzeniem się na demonizm, w ogóle jednak, zdaje się, że mu rzetelna zaduma i melancholia — nie są obcemi! Tylko radzilibyśmy każdemu młodemu wieszczowi, ażeby pamiętał, że *Weltschmerz* wypłakał całe morza łez, wygrał wszystkie gamy bólu ludzkiego, że nie zostawił dla nas nic a nic, i że chcąc zeń wykrzesać coś nowego, trzeba go zrobić psychologią, realizmem, spowiedzią jawną lub zamaskowaną, w sensie ostatnich romansów Maupassanta, „Bez dogmatu“ Sienkiewicza i t. p. Poezya zaś i filozofia rozpaczy i nudy wypowiedziały ostatnie swe słowo ustami geniuszów, dawno w grobie ległych...

Kto wie jednak, czy p. Tetmajer nie jest naturą bardziej entuzyastyczną, choć poważną. W takim razie bezcielesne dumy nie będą go zbyt długo nawiedzały, a na tem zyska poezya jego, która koniecznie musi skrystalizować się w pomysłach, porównaniach, obrazach, a głównie języku („Byłbym cię oddał, gdy miałem cię“, „Aż wzrok, jak krótka zbyt kotwica“, „Mniej ważą, niż przegięta tęcza przez niebiosy“ i sto innych).

Składnia szyku i wiązanie zdań głównych z podrzędnemi są strasznie słabą stroną autora. Niech pohamuje gorączkę, zdobędzie cierpliwość, wygładza styl troskliwie, bo inaczej szkoda byłoby jego prawdziwej myśli, prawdziwego uczucia, prawdziwej poezyi.

Cezary Jellenta.

CÓRKA LEŚNEGO.

SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

WISŁAWA.

(Ciąg dalszy).

Był to wdzięczny obrazek i Warwarka przyglądała mu się ciekawie. Nagle coś mignęło jej przed oczami. Jak gdyby z chmury, zbity w kulkę wypadł mały krogulec — porwał jednego ptaszka i — znikł jak przybył błyskawicznie.

Warwarka krzyknęła mimowoli!

Drugi ptaszek zaczął piszczeć żałośnie — zatrzepotał skrzydłami i pi! pi! pi! uleciał w kierunku uprowadzonego towarzysza. Po chwili jednak przekonawszy się znać o bezskuteczności swych usiłowań — powrócił na grobowiec swych wspomnień, a nie tknąwszy żółtych ziarenek piszczał z puszczoną głową, przelatując z gałązki na gałąź.

Warwarka lubiąca ptaszki namiętnie — dziwnie roztkliwiła się tym wypadkiem. — Czyżby to miało być przepowiednią jej życia? Czyżby ją jedynaczkę Wasyla „z nad debry“ — coś podobnego spotkać mogło? Piszczałaby — piszczałaby nieboga jako ta ptaszka drobna! — niemajac zniskąd pomocy, ani poratowania!

Złodziej — świerki — „Ponedil“ podcięty wywietrzały jej z głowy. Zapomniała o istnym celu swego przybycia. Szła żywo, jakby ukołysana rytmem własnych trzeszczących kroków. — Skręcić już miała na drogę ku swojej debrze — gdy koło wiązu — zamigotało jej coś pod krzakiem.

Zbudziła się z zadumy, i skokiem pantery przesadziwszy nie wielką odległość — piłującego przy samej ziemi ujęła za kołnierz.

— A mam cię przecie! — wykrzyknęła radośnie — wstrząsając nim i podnosząc do góry!

Był to mały, szczupły, z zawiędłą twarzą i w wytartej odzieży człeczyna — który zdaje się nie pojął jeszcze niebezpieczeństwa mu grożącego — gdyż nawet nie usiłował się bronić.

— A ty co za jeden? — Zkąd? — spytała zdziwiona nieznanem sobie obliczem. — Teraz mi odpowiesz za wszystkie sosny! buki, dęby i mój „Ponedil“ podcięty — Schwytałam cię nareszcie — chwała Bogu.

Złodziej uderzył w płacz i w prośby.

— Ach! — ja biedny! nieszczasny stareńki! „Chotiw“ ogrzać się kapineczkę. — Mróz chodzi mi po kościach jak po komorze. Daruj mi ten raz jeno śliczny paniczu. Więcej już piłki do rąk nie wezmę! Ot skusiło mnie jakieś licho, na biedę i pohańbienie.

— Mów coś za jeden! Ojciec się z tobą rozprawi!

— Nie gub że mnie biedneńkiego — duszo chrześciańska! Weź sobie piłkę — siekierę — mówił zręcznie się obracając — przyczem ujrzawszy, iż to tylko dziewczyna dzierży go tak silnie, szarpnął się z całej mocy i jął uciekać.

Lecz Warwarka zwinna i zręczna dopędziła go w kilku susach.

— Przebiegły złodziej z ciebie — rzekła ująwszy go jak pierwej — chodź ze mną do ojca!

— O! piękna moja panienko! jęczał składając ręce.

— Nic ci to nie pomoże — musisz iść za mną — odparła wcale nie wzruszona siwemi włosami starca.

Oparł się całym ciężarem.

— Nie rób tej hańby ludziom — mnie — i sobie — mówił już trochę wyzywająco. — Stary ja, — biedny, — marny nędzasz i nic! — Czy skisnę w tej czy w tej dziurce — jedna zapłata! Oczu nikt nie wypłacze! — Ale co ci zawiniła moja żona nieboże — co mój pasierb, nauczyciel tutejszy — że ich podasz na śmiech ludzki, na palców wytykanie!

Warwarka w tył się cofnęła, puszczając zdobycz z ręki. Przypomniała sobie szepty młynarki o ojczymie nauczyciela wierutnem ladaco! — Scenę z kasztankiem przy krynicy. — Swoje myśli i marzenia! — Cóż ma czynić? — Żal jej ojca ukochanego, który rozbija się za złodziejem — i żal tych co mają cierpieć niewinnie.

Stary, jakby się cieszył wrażeniem słów wypowiedzianych — oparty o drzewo chytrze na nią spoglądał — widocznie lepiej od niej wiedział, co go czeka.

Ona zdecydowała się nareszcie. — Niech padnie na inne ręce — pomyślała, dodając głośno: „Idźcie z Bogiem, a pamiętajcie, jak ojciec was pochwyci — niedaruje“ i odwróciła się ze wstrętem.

Źle zrobiła — szkaradnie. Oszukała ojca najlepszego. Pozbawiła go pociechy i wypoczynku — bo przecie aż zmizerniał z zgryzoty i nocy nieprzespanych. I o kogo jej chodzi? O nieznanego całkiem człowieka. — Niechby i on się trochę podręczył. Nie jeździłby może tak rozkosznie z panną Helusią. Nie spijałby z nią pachnących ziółek przy stole. — I kto wie czy łapał konia rozhukanego? — Ale cóż ztąd? Niechby tam.

Co jej na tem zależy? — Czy ją kto prosił o to?

Stary będzie broić, jak broił. — Zniszczy do szczętu „Ponedil“ zrębie „Nedilę“ — i wkułak się przy niej rozśmieje.

O! co nie! to nie! — zawołała głośno, jakby odpowiadając komu drugiemu. Sama pójdzie do nauczyciela, wszystko mu przedłoży, opowie. — Niech sobie strzeże ojczyma — bo inaczej — stanie się, co się stać miało. — Tu niknie jej energia.

Biedna młoda dziewczyna! zalewa się łzami gorącemi, które nie wiedzieć zkąd płyną jej i płyną. — Ale bo też miała rozum wypuścić złodzieja! — A gdzież powie to nauczycielowi? Gdzie się z nim spotka?

VI.

Księdzowa przyniosła wazkę z suszonym owocem, ugotowanym soczyście. Nakryła stół białym obrusem, tkanym przed stu laty i z pomocą Pazienki, pierwszej swej ochmistrzyni, oraz dziaczka elewa — zajęła się przygotowaniem do wieczerzy.

Na niebie błyszczało gwiazd tysiące, niby punkta złociste na szafirowej makacie. Mróz skrzypiał pod nogami. W chatach uciszało się zwolna. Całodzienna krętanina była na ukończeniu. Gdzieniegdzie tylko podnosił się do góry, jak opar z moczarzyska, obłok dymu, na znak spóźnionej czynności, głównie jednak tarto mak, skręcano kluski (babulki), a nawet zaścielano słomą podłogę z nieodzownem: ko! ko! ko! ko! ko! ko! (co wpływać ma przedziwnie na nośność drobiu) i wymoszczono stół wonnem sianem. Poczem bezpośrednio nastąpić miało spożywanie grochu, kapusty, grzybów, fasoli, kasz czworakich, suto okraszonych olejem, pirogów, klusek i pszenicy (kutii) z makiem i miodem.

U księdza zwyczaj ten uległ znacznej zmianie. Były wprawdzie akcesorya Betleemskiej stajenki, ale siano jedynie pod stołem, a snop zboża wymuskany i czerwoną krajką związany w kącie. Zato śliczna choinka lśniła się mnóstwem świec kolorowych, złoconemi orzechami, jabłkami, piernikami i łakociami różnego rodzaju. Przystrajała ją Helusia z nauczycielem.

Teraz siebie przystraja w bocznej alkowie. Właściwie strój już ukończony. Ciemna kaszmirowa suknia faluje się i układa prawidłowo; tylko jakoś z wstążką niebieską nie może sobie dać rady. Wiąże ją w kokardę na boku, to w motylka na ramieniu, to znów przesuwa pod szyję — przyczem nuci półgłosem:

Oj ty diwczyno myślamy błudysz!
Sama ne znajesz koho ty lubysz.
„Oj znaju! znaju! koho kochaju
Tylko ne znaju z kim żyty maju“.

— Heluniu serce! Wnet tam skończysz? — przerywa ją do rzeczywistości głos matki. — Słychać już dzwonki Dolickiego.

— Zaraz mamo! — odpowiedziała wsuwając motylka pod włosy. Niebawem w dobrze ogrzanym i jasno oświeconym pokoju zgromadzili się wszyscy uczestnicy biesiady wigilijnej, tj. gospodarstwo z córką i dwoma wnuczkami, nauczyciel Kalita — i pan Dolicki z siostrzeńcem.

Ośm osób — do pary — na dobrą wróżbę i wesołą zapowiedź. Przełamano się „proskurką“ zamiast opłatka, posmarowaną miodem — wśród mnogich życzeń i ukłonów — poczem proboszcz utraktował wszystkich nie wyłączając Genuńcia i Justyna wyborną nalewką jarzębinową.

— Ja proszę o dwie zupy — rzekł pan Dolicki, wiążąc serwetę pod brodę i zakąszając wódkę ciastkiem francuzkiem, bo boję się żebym potem nie czuł żalu za którą.

— Wolne żarty pana dobrodzieja — odparła jejmość — czemprędzej stawiając przy pełnym talerzu szarego barszczu czarkę zupy migdałowej, aż gęstej od rodzynków.

— Polewki jejmościne sławne na całą parafię — przecie powiadają że ksiądz dziekan zjadłszy tutaj misę grochówki z kapustą cały rok palce oblizywał.

— O! też bym księdzu dziekanowi na misce grochówkę dawała — chłop to czy co?

— Wuj użył tu przenośni — wtrącił pan Karol — musiała być na talerzu.

— Nie — wyraźnie mówiono mi „na misce“.

O! o! kto też to widział! — broniła się gospodyni.

— Ktoś co miał oczy.

Helusia usiadła pomiędzy panem Karolem a nauczycielem. Dobrze jej było. Na najmniejsze poruszenie sąsiad z prawej strony podawał sól, pieprz, ocet, oliwę itd.

— Szkoda że zwyczaj zaścielania słomy na stole zaginął u nas — rzekł pan Karol podrażniony nieco uśmiechem Heluni, którym nauczycielowi za wodę dziękowała — moglibyśmy sobie coś wywróżyć.

— Umie pan?

— Nie — odparł naiwnie.

— Ja także nie — więc nie mielibyśmy prawdziwej korzyści.

— W danym razie uprawianoby tę sztukę.

— Wątpię. — „Przeminął czas“ — jak mówi poeta. — Dość mamy szalbierstw i kuglarstwa.

Pan Karol chciał coś odpowiedzieć, ale księdzowa podała mu własnoręcznie szczupaka z chrzanem — poczem nauczyciel podjął dalszy ciąg rozmowy.

— Zupełną pani słuszność przyznaję — rzekł smarując Genuńciowi struclę miodem — tyle mamy złudzeń na każdym kroku, pocóż mnożyć je jeszcze?

— Poco cieszyć się daremnie lub smucić bez podstawy — Helusia dodała z kolei.

— Smucić? — Zapewne — choć bardzo podobało mi się zdanie jednego z niemieckich pisarzy, który mówi: Życie jest zawsze tylko ciężarem — bądź co innego sobie wyobrażamy — a wszelkie jego obietnice i nadzieje — kłamstwem!

— Cóż za Kassandra złowroga! wtrącił p. Karol.

— Patrzajcie jaki mi pesymista! — poparł go wuj. — I skąd to nabrałeś tego doświadczenia — mój młody przyjacielu!

— Et palnij sobie! — dodał, widząc że ksiądz nalewa kieliszki. Bo jak grecki poeta powiedział:

Wszystko pije naokoło
Ziemia, słońce, morze, cielę.
Wszystkim przyjemnie wesoło.
Jaż nie mam pić? — Przyjaciele?

Czy tak Karolu?

— Coś w przybliżeniu — odparł ten z uśmiechem.

Bibit iste! Bibit ille!

Bibunt centum, bibunt mille! No! pijże pan! Chyba że nie rozumiesz po łacinie?

— Tyle rozumiem, choćby z powieści Kraszewskiego. Dosyć! to nam wystarcza — i przez stół trącił się z nim kieliszkiem.

Nauczyciel z wdzięcznością przyjął wyróżnienie, skłonił się i rzekł ciągnąc nijako frazes poprzedni:

„Chociaż to życie idzie po grudzie
Jak mi Bóg miły dobrzy są ludzie“.

(C. d. n.)

WOLNE MYŚLI

(FEJLETON).

VI.

Miałem zaszczyt zwrócić już gdzieindziej uwagę, iż zabawnie wygląda umieszczanie w wykazach statystycznych pod rubryką *ruch ludności,* liczby osób zmarłych — bo jużci kto, to z pewnością zmarli najmniej się ruszają. Niekoniecznie zgodne z filozofją języka są w tym wykazie i urodziny, bo maleństwa rodzące się także mało ruchu używają. Jedyny sens w owym *ruchu* mają małżeństwa, gdyż te rzeczywiście wielkie częstokroć poruszenia sprawiają.

Ale nie o tem miałem mówić. Chciałem tylko zaznaczyć ku wiecznej pamięci, iż kiedy w tygodniu poprzedzającym zjazd lekarzy zmarło 54 osób, to tydzień zjazdu wykazał 56 osób należących do przymusowej na tamten świat emigracji. Zdawałoby się napozór, iż obecność tylu pierwszorzędnych powag lekarskich wraz z pięciokrotnem zwiększeniem liczby koncesjonowanych kuratorów zdrowia, powinny były wprost przeciwny przynieść rezultat. Nie chcę przesądzać, ale gotówbym się założyć, że obecny tydzień pozjazdowy wykaże znowu spadek śmiertelności. W tem przekonaniu utwierdzają mnie i liczne listy moich prywatnych korespondentów z Galicji, wykazujące, iż w dniach zjazdu, w miejscowościach opuszczonych przez lekarzy, stan zdrowotny (bodaj pękł, co wyraz ten ukuł) znacznie się poprawił.

Osobiście byłbym całkiem zadowolony ze zjazdu, gdybym przez wrodzoną skromność i lękliwość, nie zaniechał sposobności otrzymania medalu na wystawie przyrodniczo-lekarskiej. Jak wiadomo jest ogłoszony konkurs na takiego wystawcę, co wyszedł bez nagrody. Wobec tego miałem wszelkie szanse otrzymania medalu za moje fejletony, a jakby to było ładnie gdyby dzisiejsze „Wolne myśli“ miały po bokach dwa medale z napisem: „za pracę i postęp — wystawa przyrodniczo-lekarska w Krakowie 1891“. Nie widzę bowiem żadnej racjonalnej przyczyny do pominięcia mnie w liczbie nagrodzonych. Nie przeczę, że wódka i miody pomagają do zdrowia (zwłaszcza użyte w większej ilości), że plany i statystyka Krakowa ogromnie wpływają na zdrowotność miasta, że p. Czyński cudów leczniczych dokazuje za pomocą swych pierników, że wyroby ślusarskie i tkackie muszą także mieć w sobie coś przyrodniczego lub leczniczego, kiedy je nagrodzono — słowem uznaję i aprobuję wszelkie odznaczenia: małe i wielkie medale, dyplomy honorowe, publiczne podziękowania i listy pochwalne. Ale aprobując i uznając, pytam się: dlaczego nie miałby na tej samej podstawie dostać parasolnik medalu srebrnego, kiedy jak wiadomo parasol chroni od zamoczenia, *ergo* : przeziębienia. — dlaczego stolarz nie miałby otrzymać publicznego podziękowania za łóżka chroniące od spania na gołej ziemi, co nie jest higienicznem, zwłaszcza na parterze, — dlaczego wreszcie mnie nie należałby się dyplom honorowy za moje fejletony? Nie jestem zarozumiały, ale nawet Rodoć (a przecież to znawca) przyznał mi — jakby to powiedzieć, żeby się nie zarumienić? — że pióro moje ma w sobie coś takiego, co trochę rozwesela. Czyż potrzebuję zaś dowodzić, że wesołość wpływa na dobry humor czytelnika, że ten humor rozpędza pochmurne myśli i nawet przyczynia się do dobrego trawienia. To taki środek leczniczy jak każdy inny, a nawet pozwolę sobie twierdzić, że wyższy od wyrobów ślusarskich i... statystyki i planów miasta Krakowa.

Ale stało się, — nie byłem wystawcą, nie mogę więc mieć pretensji do komisji rozdającej nagrody. Zresztą lekarze już się rozjechali, — szukaj więc wiatru w polu.

Cieszyłem się bardzo, że wyjechali do Rabki, Szczawnicy, Krynicy i t. p. Raz, pomyślałem sobie, użyją tych przyjemności, na jakie skazują biedne ofiary swych oględzin i opukiwań. Ba! albo to oni tacy naiwni. Pojechali sobie wygodnie aż miło, gdzie przyjechali tam się najedli i pili, — i dalejże w drogę na dobre jadło i napitek. Nacałowano ich, naściskano, zapalono im ognie sztuczne, przyjmowano mowami, okadzono ich, nagłaskano — i to się nazywało zwiedzaniem zdrojowisk krajowych.

Trzeba ci było, kochany jeden z drugim zjazdowiczu, pobyć w Krynicy przez parę tygodni i wypić sobie co dzień naczczo „po trzy szklaneczki Hermenegildy ze serwatką“, wleźć do błota krynickiego, powąchać zapachów kąpieli rabczańskich itp. itp. a wówczas, gdyby ci to przyjemność sprawiło, przypuszczałbym, że masz sumienie przeznaczając języki, nosy i inne drobiazgi cielesne swych pacjentów na podobne tortury.

Poco jednak ludziom zazdrościć, że się dobrze bawili! — lepiej iść za ich przykładem i puścić się samemu w drogę „w celu zwiedzenia zdrojowisk krajowych“. Tak też i czynię. Kiedy 6 Nr. „Myśli“ dopiero będzie pod prasą, szlachetna kolej państwowa uniesie mnie w stronę uroczych Pienin i kuracjuszom szczawnickim najprzód przypadnie zaszczyt ujrzenia mnie we własnej postaci. Tylko uprzedzam, że nie wymagam żadnych ostentacyjnych przyjęć, — moja skromność na to nie pozwala, proszę więc ją uszanować. Co najwyżej zgodziłbym się na wręczenie mi choćby nawet większego upominku, byle złoto było pierwszej próby.

K. Bartoszewicz.

NOWE PASTELE

przez

PAWŁA BOURGET'A.

I. Święty.

(Ciąg dalszy).

— Pozwól pani, niech skończę moje opowiadanie — wtrąciła miss Mary.

Przykrem jej było widocznie wojownicze względem mnie usposobienie miss Roberts.

— Droga pani, później będziesz dysputować....

Zacny opat zadawał sobie pytanie, w jaki sposób oczyścić całą ścianę z pokrywającej ją powłoki wapna, bez uszkodzenia fresku? I oto co wymyślił: przykleił do ściany serwetę i wysuszył ją tak, że płótno przylegało silnie do gipsu, następnie oderwał ją ostrożnie i jął wydrapywać po kawałeczku pozostałe cząstki wapna. Przez długie miesiące pracował w ten sposób zacny starzec, odsłaniając jedną ścianę, na której znajduje się św. Tomasz, wkładający palec w ranę Zbawiciela, następnie drugą, gdzie św. apostoł przedstawiony jest jako poseł, na dworze króla Judów Gondoforusa.

— A znasz pan tę legendę — spytała mnie nagle miss Klara? Tym razem nie dostarczyłem jej przyjemności ponownego zgorszenia się moją czysto francuską płytkością. Czytałem to opowiadanie. Co prawda przypadkiem. Wziąłem raz książkę Woragine, szukając w niej pomysłu do powiastki — i to ze wstydem wyznaję — dla bulwarowego dziennika; legenda wbiła mi się w pamięć, raz z powodu szlachetnej przenośni, powtóre zaś dla swego podzwrotnikowego zabarwienia, które jej w moich oczach nadaje wdzięk niepospolity!

Gdy św. Tomasz znajdował się w Cezarei, ukazał mu się Chrystus Pan, i rozkazał udać się na dwór Gondoforusa, gdyż król ten poszukiwał architekty dla zbudowania pałacu, któryby przepychem swym zaćmiewał mieszkania rzymskich cesarzy. Święty Tomasz usłuchał, udał się na dwór księcia, ofiarował swoje usługi, i został przyjęty. — Gondoforus wyjeżdżając na daleką wyprawę, powierzył mu niezmierną ilość złota i srebra, przeznaczoną na budowę pałacu. Za powrotem spytał świętego, jak postępuje go praca? Św. Tomasz rozdał ubogim powierzone sobie skarby, a budowa ani o krok nie posunęła się naprzód. Król rozgniewany kazał uwięzić dziwnego architektę. rozmyślając jakieby wyrafinowane męczarnie zadać niegodnemu zdrajcy. Nagle tejże nocy ukazuje się władcy widmo zmarłego przed czterema dniami brata i przemawia doń: Człowiek, którego chcesz skazać na męki, jest sługą Bożym.

Aniołowie pokazywali mi przecudne mieszkanie ze złota i dyamentów, jakie zbudował dla ciebie w raju."

Król poruszony do głębi zjawiskiem tem i przemową, biegnie do więzienia i rzuca się do stóp świętego, który podnosi go mówiąc:

— Nie wiedziałżeś o królu, że jedyne trwałe mieszkania wznosi nam w Królestwie niebieskiem nasza wiara i miłosierdzie.

To pewna dodałem, opowiedziawszy powyższą legendę, nie bez pewnego zadowolenia, że przedmiot był pociągający dla takiego, malarza jak Benozzo, rozkochanego w przepychu wschodnich kostiumów, skomplikowanych architekturach, krajobrazach o niesłychancj florze i chimerycznych zwierzętach.

— Och! — zawołała miss Dobson odsuwając w uniesieniu artystycznem półmisek fig czarnych i zielonych, które podawał jej właśnie chłopiec hotelowy, hultaj o szyderczem obliczu.

— Nie wyobrazisz pan sobie jak wspaniale wygląda sam Gondoforus, rodzaj Maura w zielonej, jedwabnej sukni, haftowanej wypukle złotem, w żółtych butach ze złotemi ostrogami; przytem koloryt taki miękki, świeży! I pomyśl pan tylko, że warstwą wapna przyłożono już tę ścianę w 16 wieku, a zatem nie było czasu na żaden dodatek, żadne skażenie.

A pozostaje jeszcze cała jedna ściana do odsłonięcia i miejsce ponad oknem, w tej samej celi, która służyła niegdyś, prawdopodobnie, jako oratoryum dla biskupów, odwiedzających klasztor.

W chwili gdy rozpytywałem się jeszcze miss Mary o szczegóły komunikacyi między Pizą i klasztorem, bo czułem już, że nie oprę się pragnieniu ujrzenia dzieł nieznanych mego ulubionego malarza — drzwi się otwarły i weszła para zapewne znana już moim angielkom, gdyż miss Mary spuściła oczy i poczerwieniała, a miss Klara odezwała się po angielsku do swojej przyjaciółki:

— Ależ to ten francuz i ta kobieta, których spotkaliśmy we Florencyi na *trattoria;* nie pojmuję jakim sposobem porządny hotel może przyjmować podobne indywidua.

I ja też spojrzałem na wchodzących i dostrzegłem zasiadającą przy jednym z małych stolików parę, której niejasny stosunek zdawał się zbyt bijącym w oczy, abym mógł oskarżyć o chęć potwarzy moją nieustraszoną sąsiadkę. — Narodowości młodzieńca nie można było również podać w wątpliwość. Mógł mieć zaledwo lat 25, lecz jego ściągłe rysy, blada płeć, szczupłe ramiona i widoczna nerwowość całej istoty nadawały mu pozór przeżytego. — Wrażenie to podnosiły piękne czarne oczy, niezmiernie ożywione. Ubrany był z tą pretensyonalną półelegancyą, która trąci cyganeryą.

MYŚL.

Dla niej nie ma przestrzeni,
Dla niej nie ma granicy,
Ni końca,
Ona leci wśród cieni
Szybsza od błyskawicy,
Przez okręgi mgławicy
Do słońca.

I nie dla niej w przestrzeniach
Stałe drogi orbity
Się kreślą;
Ona w własnych promieniach,
Leci w boskich natchnieniach,
Przez niezmierne błękity,
Jest — Myślą!

Sama sobie jest siłą,
Sama sobie kierunek
Wykuje,
Nie zwątpi nad mogiłą,
Zbrojna w woli rynsztunek,
Przyszły życia warunek
Odczuje.

Jej nie grożą otchłanie,
Ona leci bezpieczna
W bezdenność,
Gdzie się budzi świtanie,
I duchowa, słoneczna,
Dla jej duszy konieczna
Promienność.

Ona nigdy nie drzemie,
I gdzie jest, tam wytwarza
Dla siebie
Życie w własnym systemie,
Gdzie się duch przeobraża
I glob prawdy rozżarza
Na niebie.

Ona pcha swe planety
Płomieniem rozpalone
Miłości,
I gwiazd zgasłych skielety
Usuwając na stronę,
Rzuca światło w zamglone
Ciemności.

Ona skrzydła ma ducha
Nosząc zmysły człowieka,
Proch ciała,
Więc pragnieniem wybucha,
I za ziemię ucieka
I przyświeca z daleka,
I pała.

Co zdobyła w swym biegu
To do miary przymierza
Swych zmysłów
W drodze sądów szeregu
I doświadczeń probierza
Rzeczywistość rozmierza
Pomysłów.

Trud jej siły nie zmroczy,
I nie zwiodą mamidła,
Ni sieci,
Ona czujne ma skrzydła
I przezorne ma oczy,
Więc odważnie bój toczy,
I świeci.

Leć, o, Myśli, w niebiosy,
Nad głowami narodu
Jak jutrzenka ze wschodu
Poranna,
Rozrzuć świeże twe rosy
W step wiekowej posuchy
Skąd wtórują ci duchy
Hosanna!

Szczęsna.

ZE ŚWIATA DŹWIĘKÓW.

Lwów.

Jeżeli sądzi kto, że dla muzyków we Lwowie nadchodzi jaka istotna pora wypoczynku, to myli się. Wypoczynek ten, trzeba sobie chyba zdobywać jakimś nadzwyczajnym wysiłkiem, lub — ucieczką. Nauczyciel, dyrygent, czy wreszcie tak zwany sprawozdawca, zawsze ma jakieś obowiązki, mimo że sezon koncertów i opery już dawno minął i mimo, że artystyczne przyjemności już rzadko się tylko przydarzają. Tem właśnie uciążliwsze te obowiązki.

Do rzędu najbardziej dających się we znaki należą n. p popisy szkół muzycznych, prześladowane przez część prasy od lat kilku, widocznie jednak nie dość energicznie, kiedy

z małemi wyjątkami we wszystkich tutejszych zakładach naukowych muzycznych ciągle się utrzymują. A zakładów tych mamy poważną ilość. Wszakże takich, które wyłącznie oddane są kultowi muzyki fortepianowej, jest około ośmiu! Gdy policzymy nadto, iż każdy z nich potrzebuje około trzech dni do zupełnego zaprezentowania swoich uczennic, to mamy już prawie miesiąc zajęty jedynie produkcjami fortepianowemi. Miesiąc najskwarniejszych zwykle upałów, miesiąc ostatni wszelkiej pracy pedagogicznej a zatem i znużenia obu stron, tak uczącej się, jak nauczającej. Chwila to, zdaniem naszem, najmniej odpowiednia do popisów, zwłaszcza gry fortepianowej, przy której, obok umysłowej, i praca fizyczna jest nie małą.

O niekorzystnym wpływie systemu popisów na postępy ucznia, pisano już niejednokrotnie. Jak można przypuścić n. p. aby uczeń przez połowę roku ćwiczący tylko jeden utwor dla „popisania się“, mógł postępować w czytaniu nut, umuzykalnianiu się ogólnem, wyrabianiu techniki racjonalnem? Jakże ze względów wychowawczych chwalić system, wcześnie od lat najmłodszych wyrabiający w dzieciach próżność, chęć błyszczenia, a co gorsza błyszczenia tanim, częstokroć bardzo tanim kosztem. Praktykuje się bowiem n. p. sposób układania kawałków na dwa fortepiany tak, że uczeń gra zaledwie główne zarysy melodji, gdy nauczyciel resztę t. j. najtrudniejszą część wykonuje na drugim fortepianie. Publiczność nie zawsze poznaje się na tem, a jeżeli poznaje to nigdy w całej pełni. Panienka, zbierająca oklaski za grę swego nauczyciela, najprawdopodobniej nie czuje tego, że właściwie oszukuje publiczność słuchającą — do czego jednak schodzi znaczenie nauki, jakie wyobrażenia o sztuce zaszczepiają się w ten sposób?..

Wszelka walka z popisami dotychczas nie przyniosła żadnych owoców. Jedynie konserwatorjum Tow. muzycznego, jako szkoła najmniej zależna od publiczności, mogła pozwolić sobie na zmianę systemu tego i wprowadziła zamiast popisów — egzamina i produkcję konkursową publiczną, do której stają jedynie najlepsi uczniowie z klas najwyższych. Inne szkoły nie odważyły się na to w obawie, iż utracą większą część swoich uczniów. Z tej to właśnie przyczyny nie obwiniamy nauczycieli i kierowników, bo w dość trudnych warunkach życia naszego muszą oni nieraz wbrew przekonaniu iść za wolą publiczności a względnie rodziców tych wszystkich małych wirtuozek i wirtuozów. Do nich to w pierwszym rzędzie skierowujemy nasze zarzuty. Bo ich próżność na tym punkcie przechodzi niekiedy wszystko, co można sobie wyobrazić. Znamy jeden wypadek, w którym matka, oddając nauczycielce córkę pod warunkiem, iż grać będzie na popisie, powiada: „kawałek zaś niech będzie duży i suty — ja zapłacę dobrze“!.. Cóż więc ci biedni nauczyciele mają czynić? Dają kawałki „sute i duże“ (częstokroć za trudne); gdy zaś talent panny nie bardzo prosperuje i po pewnym czasie nie daje się jeszcze jako nadzwyczajny zaprodukować, to urządzają wspomniane wyżej „arangement“ i dzieje się życzeniom rodziców zadość. Ile jednak przy takiej operacji trudów, mozołu i łez — wiadomo to tylko nauczycielom. Jak zaś zawodzą nieraz te sztuczny sposoby, to słyszą wszyscy ci, którzy „popisom“ przysłuchują się bezstronnie, niemając pomiędzy panienkami grającemi ani córeczek, ani kuzynek.

Szkoda jednakże, że nie dzieje się inaczej. Lwów posiada wiele szkół, które rozporządzają siłami nauczycielskiemi bardzo dobremi. Temu to zawdzięczać należy, że mimo często spotykanej (dzięki systemowi popisów) powierzchownej gry, nieraz słyszy się grę sumienną, poprawną i dobrą.

W numerze następnym „Myśli“ postaramy się dać mały obraz naszych stosunków szkolnych ze świata muzycznego i zapoznać łaskawych czytelników z najwybitniejszymi zakładami, uprawiającymi muzykę w znanym ze swej „muzykalności“ Lwowie.

St. Niewiadomski.

DRUGIE POKOLENIE.*)

Pan Maryan Gawalewicz, autor licznych a wytwornych nowel i drobniejszych powiastek, pokusił się o napisanie większej, obyczajowej powieści o społecznym podkładzie.

Każda myśląca jednostka musi się niejednokrotnie zastanowić, jak ważną częścią składową naszego społeczeństwa stanowią cudzoziemcy, zwłaszcza germańskiego pochodzenia, którzy z czasem asymilują się i stanowią niezaprzeczoną składową cząstkę narodu, stając się dobrymi synami przybranej ojczyzny. — Przybyszom tym zwykle nie źle się dzieje na naszym gruncie, ale odrzuciwszy wrodzoną nam, rasową ku nim niechęć przyznać trzeba, że powodzenie swoje zawdzięczają przedewszystkiem swej żelaznej pracy i wytrwałości.

Nowej ojczyźnie z którą się zlewają pomimo jej woli, dają oni pracę olbrzymią, wytwórczą, pracę wołów roboczych i mrówek zarazem, o której natura słowiańska żyjąca i działająca przeważnie pod wpływem chwilowych porywów, wyobrażenia niemal nie posiada.

Dla tej pracy właśnie, poszanowania ładu, porządku, systematyczności, stanowią oni niekiedy cenny dla narodu nabytek, a w każdym razie, stanowią niezaprzeczoną zwłaszcza w dziedzinie przemysłu siłę z którą rachować się i zastanawiać nad nią musimy. Dla bystrego obserwatora zjawisk, ciekawym być musi dylematem, jakiemi przeważnie bywają ludzie stanowiący ten pierwiastek napływowy, a zwłaszcza, jak pod wpływem nowych warunków przekształca się i zarysowuje ich charakter. Najbliższe zwłaszcza następne, t. j. drugie pokolenie tych wzbogaconych przybyszów, przedstawia typ ciekawy, to też p. Gawalewicz zajął się tym tematem i obdarzył nas powieścią, do której osnowy dostarczyły mu właśnie owe, że się tak wyrazimy — płonki germańskie, zaszczepione na gruncie słowiańskim. Autor nie poruszył co prawda kwestyi głębiej i nie dał wyczerpującej odpowiedzi na liczne pytania, jakimi się stają i czem są dla naszego społeczeństwa ci wzbogaceni przybysze, dzierżący w swym ręku większą część przemysłowych i handlowych operacyj — nie, autor uznał tylko, że sfera ta w beletrystyce mało dotychczas lub jednostronnie wyzyskana, nadawałaby się do ujęcia w powieściowe ramy. Nie roszcząc sobie przeto pretensyi do stworzenia społecznej epopei przedstawił p. Gawalewicz po prostu dzieje jednej takiej na wpół spolszczonej rodziny, stawiając ją w dramatycznej a zajmującej kolizyi.

Głową tej rodziny jest stary Wilhelm Fatt, którego ojciec jeszcze był skromnym kolonistą, wzbogaconym na handlu serami i masłem. Drogą niezmordowanej pracy, wielkiego sprytu i szczęśliwych, lecz uczciwych spekulacyj, doszedł pan Wilhelm Fatt do posiadania okazałego majątku i stał się właścicielem pierwszorzędnej fabryki odlewów żelaznych, istniejących pod firmą *Cerery.*

Najstarszy jego syn Karol, bożyszcze całej rodziny, której imponuje swoim rozumem i nabytą przez pobyt zagranicą ogładą towarzyską, nie chce już jednak iść przez życie drogą przez ojca i dziada wytkniętą. Sybaryta i próżny samolub uważa że dostatek zgromadzony skrzętną ręką ojca powinien być dlań tylko stopniem, po którymby mógł dojść szybko a bez pracy do milionowej fortuny. Stanąwszy na czele interesów, do których stary Fatt dla podeszłego wieku się usunął, robi szalone a wątpliwe spekulacye, żyjąc przytem nad stan. Fabrykę i kantory urządza z niebywałym dotychczas przepychem, swój własny dom prowadzi na wielkopańską stopę, po za tem zaś zajmuje się jeszcze na pokątne miłostki z aktorkami i w krótkim czasie sporządza to, do czego podobny tryb życia doprowadzić musiał, to jest wielkie bankructwo, w którem przepada również część majątku brata,

---

[1]) Powieść M. Gawalewicza. Warszawa 1891. Nakładem Gebetnera i Wolfa.

siostry, dożywocie rodziców i posag żony. — Owoc krwawej pracy i zabiegów całego pokolenia jednego, marnuje drugie w kilku latach szalonego życia.

Studyum p. Gawalewicza zyskałoby na plastyce i prawdzie, gdyby autor powiedział nam cośkolwiek o wpływach dzieciństwa i młodości, oddziaływających na wytworzenie tych wszystkich ujemnych rysów, które z Karola Fatta robią nieskończenie niską i niesympatyczną jednostkę. Ani jednego szlachetnego porywu lub bodaj instynktu nie podobna w nim dopatrzeć, zarówno wtedy gdy stoi na czele zamożnej i szanowanej firmy, jako szczęśliwy człowiek, mąż i ojciec, jak i wówczas gdy zbiedzony, zdemoralizowany kilkuletnią tułaczką i nędzą, odepchnięty przez własnego ojca upada coraz niżej, zabija się, jest pieczeniarzem, szulerem i totumfackim wątpliwej reputacyi paniczów.

Jakby dla złagodzenia tych barw ciemnych, mamy w powieści p. Gawalewicza drugiego młodego Fatta, wesołego, serdecznego Krzysia, którego niemieckie przymioty, zbratane z polską dobrodusznością i szlachetnością, najsympatyczniejszą tworzą całość. Jakkolwiek autor usunął postać tę, — zdaniem naszem najlepszą w całej książce — na plan drugi, wysuwa się ona jednak raz wraz naprzód, jak jasny promień. Czysta miłość Krzysia dla córki kasyera Frani, wydaje się się też ożywczym strumieniem, przewijającym się wśród zatęchłej i sztywnej nieco atmosfery starego domu i lekkomyślnej a częstokroć brudnej — nowego.

Jakich cech znamiennych dopatruje się pan Gawalewicz w córach drugiego pokolenia — nie wiemy, gdyż niewieścia reprezentantka domu Fattów, piękna panna Liza, jest zagadkowem, milczącem stworzeniem. Autor rysuje ją półcieniami, mówi o niej pół-tonami, ale kilka rysów, którym wyraźniej wybić się pozwolił, jak naprzykład dobrowolne zwrócenie pierścionka zblazowanemu baronowi w chwili katastrofy pochłaniającej jej posag, zdaje się świadczyć, że autor przeznacza jej sympatyczną i dodatnią rolę.

W ogóle obserwacya p. Gawalewicza trafna i bystra ale nie zbyt głęboka, daje nam wyborne i pełne życia sylwetki ludzi w danym momencie ich działania, ale nie wtajemnicza czytelnika w istotny stan psychiczny swoich bohaterów.

Ta kartka z życia drugiego pokolenia, bo takby nawet właściwiej podług nas powieść tę nazwać było można, dostarcza w każdym razie wiele wątku do poważnej myśli, a dzięki stylistycznemu talentowi autora, czyta się niezmiernie zajmująco. Napisana lekko, barwnie, przezroczysto i wysoce konsekwentnie pod względem budowy, układu figur i wypadków — jest nowem, wymownem świadectwem ciągle rozwijającego się talentu tego sympatycznego, a dziś już poważne miejsce w naszej beletrystyce zajmującego autora.

K. J. N.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ.

Charles Grad. *Le peuple allemand, ses forces ses ressources. Paris.*

(P.) Wśród poważnej liczby dzieł i rozpraw o Niemczech rokrocznie ukazujących się we Francyi, pisanych najwięcej z szowinistycznem uprzedzeniem, ale rzadko opartych o grunt realnych spostrzeżeń, książka p. Grad odmiennym zupełnie tonem i nastrojem nacechowana, obudziła w publicystyce francuskiej żywe zainteresowanie. Jest to poważne studyum polityka ekonomisty, który jako deputowany do parlamentu niemieckiego z prowincyj alzackich, miał dobrą sposobność zapoznać się dokładnie z całym organizmem państwowym w Niemczech i z bezstronnością ścisłego badacza podaje sumienny, wszelkich idealistycznych mrzonek pozbawiony przegląd sił państwa niemieckiego. Uzbrojony całym aparatem cyfr i porównawczych zestawień, wyłuszcza autor kolejno czynniki, które zawarunkowały świetny wzrost państwa niemieckiego w ostatniej dobie życia politycznego i z wywodów tych snuje wnioski, z których dzisiejsi prawodawcy Francyi wiele zdrowych ziarn wybrać mogą. Jednolitość języka, wzrost ludności i konsekwentna polityka prusyfikacyi wszystkich dzielnic niemieckich, zapewniają zdaniem p. Grad mocarstwu niemieckiemu ów stopień politycznej potęgi, który staje się coraz groźniejszym dla żywiołu słowiańskiego. Polityka germanizacyi wydaje upragnione skutki. Statystyka z lat 1858 — 1861 dowodzi, że w Śląsku na 100 osób, używanie języka polskiego spadło z 25·3 na 23·1, w Poznańskiem z 55·2 na 54·5, w Marchii brandeburskiej z 3·3 na 2·1. Wzrost ludności niemniej pomyślne przedstawia dla państwa niemieckiego wyniki. Przed 50 laty ludność Francyi znacznie przewyższała cyfrę zaludnienia w Niemczech, dziś zachodzi wręcz odwrotny stosunek. Oprócz korzyści militarnych i ekonomicznych, wzrost ten powoduje w Niemczech ruch emigracyjny, otwierając progi polityce kolonizacyjnej, która z dniem każdym coraz większego nabiera znaczenia, a jest zarazem jednym z najskuteczniejszych środków zapobiegających wzrostowi socyalizmu. Nakoniec jednolitość organizmu państwowego wspierająca się na germanizacyi, która w polityce panstwowej Bismarka była zdaniem autora zupełnie usprawiedliwiona, uważa za jeden z podstawowych czynników, na których się trwale wspiera przyszłość i potęga Niemiec, jako pierwszego w Europie mocarstwa. Różnorodność grup i ustroju, autonomią dzielnic uważa pan Grad jako czynniki doprowadzające organizm państwowy do rozkładu. Na tle powyższych wytycznych punktów, rozwija autor swe poglądy na przyszłość Niemiec i nawołuje Francyą do podjęcia reform podobne cele mających na względzie. Poglądem na organizacyą armii niemieckiej, oraz politykę finansową Prus, kończy autor swą wielce interesującą książkę. Lubo nie pozbawiona wielu błędnych poglądów, zasługuje ona na uwagę jako głos Francuza, który stawszy się wbrew woli obywatelem państwa niemieckiego, starał się jego stosunki zbadać do głębi i przedstawić we właściwem oświetleniu swoim rodakom.

(K) Adolphe Coste. *Nouvel exposé d'économie politique et de physiologie sociale.* Ciekawe to pod wieloma względami dzieło odznacza się oryginalnością zawartych w niem poglądów. Autor stara się wykazać pokrewieństwo zjawisk socyologicznych ze zjawiskami fizyologicznemi. Społeczeństwo uformowało się według norm świata organicznego. Gospodarstwo domowe wytworzyło ekonomię polityczną, z pracy jednostki powstała skomplikowana praca pewnych warstw narodu, z domowej skarbonki, w której oszczędności składano, powstały instytucye oszczędności, z przemysłu, zaspokajającego potrzeby jednostki, powstał z czasem przemysł, zaspokajający potrzeby zagranicy. Autor omawia specyalnie kwestyę popytu i podaży, z uwzględnieniem odnośnych praw i ustaw. Nowych faktów Coste nie podaje, ale interesująco je oświetla. Rzecz napisana przystępnie.

*** *Dwacet humoristickich praci* napsal Ladislav Stroupežnicky. Stroupežnicky jest lepszym satyrykiem niż humorystą. W powyższym tomie zebrał on prace, w większej części umieszczone już w „Humoristyckych Listach“ obok kilku nowych, jak np. „Z Prahy a venkowa“, „Luve smeczné a ubari“. Autor odznacza się tem, że starannie obrabia każdy szczegół. Posiada też sporo dowcipu, tak w dyalogu, jak i w rysunku charakterów. Zręcznie kreśli śmieszne strony towarzystwa czeskiego, acz ośmieszenie nie staje się nigdy u autora celem, gdyż niektóre z jego powiastek, jak „Ptak

z rzisze baji", „Pomsta Pavla Żabki" usposabiają czytelnika smutno.

⁎ W „Ateneum" za lipiec widnieje szkic dra M. E. Trepki p. t. „Współczesne dziennikarstwo w Anglii". Jakkolwiek napisano go nieco pobieżnie, wart przeczytania, gdyż odsłania jedną z potęg angielskiego życia narodowego, tudzież podaje kilka szczegółów, godnych pamięci. Wbrew tytułowi, większą część szkicu autor poświęcił przeszłości. Pierwsze dzienniki, istotnie zasługujące na to miano, pojawiają się pod koniec wieku XVII, odrazu prześladowane i przekupywane przez rząd, który niemal do połowy wieku naszego. stale owej reguły się trzymał, że bądź jednał złotem, bądź też — zdarzało się to częściej — dziennikarzy więził, wydawców obkładał karami, a każdy egzemplarz dziennika, tudzież każde ogłoszenie dość wielkim obciążał podatkiem. Jeden tylko minister odmienną chadzał drogą; sir Roberi Walpole podczas swych 23-letnich rządów opiekował się dziennikarstwem i zasycał je złotem tak obficie, że w latach 1731—1741 wydał na subwencye przeszło 50.000 funtów. W drugiej połowie wieku XVIII. najpoczytniejszym dziennikarzem był „The Public Advertiser", który bił przeciętiowo po 3.000 egzemplarzy. Równocześnie ilość nakładców tak rosła, że skarb ze stempla dziennikarskiego milionowe ciągnął zyski; ów stempel nieszczęsny, który niesłychanie krępował rozwój prasy, zniesiono dopiero w r. 1855 r.; podatek od papieru w 1861 r. Z tą chwilą dziennikarstwo nabrało sił nowych. Prawie wszystkie gazety codziennie w Londynie wychodzą rano, a mieszczą się na Fleet-street. Dawniej na ich czele stał „Times"; od r. 1879, to jest od śmierci p. Delane'a, który przez lat 36 rządził nietylko owym dziennikiem, ale niemal i całą Anglią, gazeta upada, bije już tylko 70,000 egzemplarzy, uporczywym i samolubnym konserwatyzmem zrażając do siebie ogół. To też dzisiaj inne organy wzięły nad nim górę i zdobyły setki tysięcy prenumeratorów. Zakończymy wzmiankę sylwetką naczelnego redaktora wielkich dzienników londyńskich: pobiera on 5,000—8,000 funtów pensyi rocznej, prawie nigdy sam nic nie pisze i nie układa dziennika, jeno daje szkic ogólny numeru, podsuwa tematy do artykułów, wskazówki polityczne, literackie i społeczne, które zebrał, przez cały dzień obcując ze znakomitościami wszelkiego gatunku. Te dyspozycye wydaje on o północy, a o godzinie 5 rano numer jest już gotów, numer, będący olbrzymiem zbiorowiskiem artykułów i wiadomości ze wszystkich stron świata.

⁎ Mendez Pelayo, autor słynnego dzieła „Historia de las ideas esteticas", został w tych dniach mianowany członkiem hiszpańskiej „Academia de ciencias morales y politicas". Nowy członek akademii miał z okazyi nominacyi odczyt: „O początkach krytycyzmu i sceptycyzmu" i hiszpańskich filozofach, którzy byli poprzednikami Kanta".

Do najciekawszych ustępów należą te, w których autor starał się dowieść, że sceptycyzm w filozofii sięga wieków najdawniejszych i że jest tak starym, jak dogmatyzm. Autor skreślił dzieje sceptycyzmu u starożytnych filozofów, dalej sceptycyzmu w wiekach średnich i w wieku odrodzenia. Niemniejszy interes obudziły krytyki systemów filozoficznych Ludwika Vivesa i Franciszka Sanchoza. Prelegent uważa za jedynie możliwą filozofię przyszłości: rekonstrukcyę filozofii syntetycznej.

Wysokie znaczenie przypisuje autor dyetetyce duszy w dobie dzisiejszej, która jest dobą przejściową.

Ostateczny wynik filozofii ludzkiej upatruje mowca w uznaniu tego, że błąd stanowi królestwo zła i przyczynę wszelkiego rozstroju, któremu przeciwstawionem być może jako prawda odwieczna Bóg, w pojmowaniu teistycznem.

MISCELANEA.

⁎ Drukowany w naszem piśmie poemat Teofila Lenartowicza pt.: „Trzeci Maja" (poświęcony młodzieży warszawskiej) wyszedł w osobnej odbitce, nakładem księgarni K. Bartoszewicza.

⁎ Na posiedzeniu wydziału filologicznego Akademii umiejętności, odczytał dr. Jan Karłowicz, redaktor „Wisły" ciekawą pracę: „O skracaniu się z przodu polskich nazw miejscowości i ludzi."

Dr. Tretiak zdał sprawę z poszukiwań swych w bibliotekach wielkopolskich i w Warszawie.

⁎ Dr. Fryderyk Kleinwächter wydał w Wiedniu (u Breitsteina) ciekawe studyum: „O romansach państwowych" („Die staatsromone"). Rzecz ta wywołana została książką Belamy'ego: „W roku 2000".

⁎ Na międzynarodowej wystawie sztuki w Berlinie przyznano 19 wielkich medali złotych i 73 małych. Z Polaków medal wielki otrzymał tylko p. Józef Brandt, medal mniejszy pp. Kazimierz Pochwalski, Zygmunt Ajdukiewicz, Anna Bilińska, Z. Jasiński, Jacek Malczewski, Teodor Rygier, Pius Weloński i portrecista Horowitz.

⁎ Tegoroczna wystawa prac uczniów krak. szkoły sztuk pięknych wyróżnia się korzystnie od tego rodzaju ekspozycyj w latach ubiegłych. Na szczególną uwagę zasługuje dział rzeźby. Medal złoty, przyznawany zwykle za prace kompozycyjne malarskie, udzielono wyjątkowo w tym roku uczniowi rzeźby: Wacławowi Bębnowskiemu, za wykonanie „Chłopaka grającego na piszczałkach". Medale srebrne przyznano: p. Tadeuszowi Okoniowi za rysunki głów i figur z natury, oraz p. Karolowi Polityńskiemu, za malowanie głów z natury. Medale bronzowe otrzymali. pp. Piotr Lokowski i Stanisław Gołębiowski za rysunek figur z antyków; Władysław Maślakiewicz za malowanie z żywej natury i Jan Piszcz za studya głów w rzeźbie. W tz. „Meisterszuli" znajdujemy prace dopiero rozpoczęte.

⁎ „Nouvelle Revue" zamieszcza ocenę powieści Sienkiewicza: „Bez dogmatu", pióra p. A. Wodzińskiego. Powieść tę przetłómaczył na język rosyjski A. Ławrow.

⁎ Termin konkursu dramatycznego im. Wołodkowicza przedłużono do dnia 1 lipca 1892 r.

⁎ P. Zygmunt Niedźwiecki, współpracownik „N. Reformy", wydał zbiór nowel i szkiców pt.: „Słońce". Zbiorkowi temu poświęcimy wkrótce kilka uwag.

⁎ Znaną pracę prof. A. Pawińskiego: „Rządy sejmikowe w epoce królów elekcyjnych" poddaje fachowej ocenie w „Ekonomiście polskim" dr. Z. Lisiewicz.

⁎ Popularny życiorys A. Mickiewicza napisał po rosyjsku p. W. A. Miakotin pt.: „Adam Mickiewicz, jego życie i działalność literacka".

⁎ Sezon zimowy teatru krakowskiego rozpoczyna się z dniem 15 b. m. przedstawieniem „Termidora" Sardou.

Od 1 września zaprowadzimy w „Myśli" stałą rubrykę „Przeglądów teatralnych."

⁎ W teatrze hr. Skarbka wystawiono w ostatnich dniach: „Sakiewkę" Buscha, „Sen", komedyę Madejskiego i „Bajaderkę" Gandillota.

⁎ W teatrze letnim warszawskim wystawiony będzie w tych dniach: „Teść" Abrahamowicza i Ruszkowskiego. W jednym z teatrzyków tamtejszych (ogródkowych) wystawiono z powodzeniem: „Szwagrów" A. Dygasińskiego i „Wesołe życie" Domnika (Dorowskiego).

*** Opera warszawska przygotowuje na otwarcie teatru Wielkiego: „Królowę Sabę“ Goldmarka.

*** W teatrze Krolla w Berlinie grają teraz operę Webera: „Abu Hassan“.

*** Świeżo wyszło w Hamburgu interesujące studyum Burkhardta, znanego krytyka. p. t. „Das Repertoire des weimarischen Theaters unter Göthe's Leitung“.

*** P. Jan Nalborczyk, krakowianin, uzyskał w wiedeńskiej akademii sztuk pięknych, pierwszą nagrodę za rzeźbę pt.: „Niewidomy“.

*** Koła literackie: krakowskie i lwowskie urządzają 14 b. m. wspólną wycieczkę do Pragi.

*** Nakładem ruchliwej księgarni E. Feitzingera w Cieszynie wyszedł starannie ułożony „Polski śpiewnik“.

*** Druk ciekawego studyum A. Bełcikowskiego pt.: „Kobiety w życiu A. Mickiewicza“ rozpoczął się w warszawskim „Tyg. Illustr.“.

*** „Nowele huculskie“ Juliusza Turczyńskiego przełożone zostały na język rosyjski.

*** W Lipsku ma wychodzić od 1 b. m. miesięcznik angielski, poświęcony literaturze i beletrystyce.

*** Dyrekcya teatru krakowskiego zaangażowała, jak donosi *Wiek*. artystkę stałego teatru w Łodzi, p. Teklę Trapszównę, na zimowy sezon do Krakowa. P. Trapszówna, która jest siostrą utalentowanej artystki teatru warszawskiego, objąć ma w teatrze krakowskim wydział ról naiwnych.

*** „Król Stanko i królowa Ksenia“. Taki tytuł nosi powieść, którą świeżo napisał król serbski Milan, a która ma być odpowiedzią na głośne pamiętniki królowej Natalii. Powieść króla Milana ukaże się równocześnie w języku serbskim i francuskim.

*** Alfons Daudet napisał dla teatru Gimnase nową sztukę pt.: „Podpora rodziny“.

*** W operze wiedeńskiej przygotowują wystawienie nowej opery Masseneta „Werther“ do libretta, przerobionego z Göthowskiego utworu.

ROZRYWKI NAUKOWE.

Odpowiedzi. (Patrz Nr. 4). — 1) Techniką lub technologią w najobszerniejszem znaczeniu zowiemy sztukę wytwarzania z produktów surowych przedmiotów dla człowieka przydatnych. Jeżeli jednak przedmiot taki nosi na sobie czysto indywidualne piętno swego wytwórcy, to staje się dziełem artystycznem.

2) Przez porównanie szybkości pozornego ruchu tych przedmiotów. Znając rzeczywistą odległość pewnego przedmiotu, można obliczyć dokładnie odległość wszystkich sąsiednich, nietylko względną, ale także rzeczywistą.

3) „Morskie Oko“ i inne tego rodzaju jeziora są to prawdopodobnie pozostałości dawnych lodników.

Zapytania. — Kogo właściwie Czesi uważać powinni za wskrzesiciela swojej mowy i literatury w wieku XIX?

Jaka jest geneza wszelkich form grzeczności, zarówno słownych jak mimicznych?

Kto jest wynalazcą fortepianu?

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

P. Jadw. C. we Lw. Radzimy Sz. Pani popracować jeszcze nad formą. Niektóre wiersze, zwłaszcza osnute na tle ojczystem, świadczą o talencie poetyckim.

Pani K. L. w K. I owszem, łaskawa Pani, ale Kraków nie od razu zbudowany. Za słowa sympatyi dzięki serdeczne.

P. T. N. Znamy nie od dziś takich przyjaciół. Dowcip marny.

Za Komitet redakcyjny: Józef Bornsztein.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Józef Tarczeński.**